

Katarzyna Błeszyńska

Ciepła głód



Katarzyna Błeszyńska

Ciepła głód

*Postacie, zdarzenia i dialogi niniejszej powieści są tworem
imaginacji. Pojawiające się nazwiska znanych osób i przywołane
fakty z życia publicznego, stanowią wyłącznie realne tło dla
fikcyjnej treści.*

Projekt okładki

Aleksander Baszun

Copyright © by Katarzyna Błeszyńska 2010

Copyright © for this edition by Blesz Edition sp. z o.o., 2020

Warszawa 2020

ISBN 978-83-955736-2-0

Pierwsze wydanie e-book

Powieść tę dedykuję Michałowi Bleszyńskiemu

Spis treści

Część I

1. Komiksy cudzego życia, czyli zamiana marzeń na możliwości
2. Jaka jestem wielka
3. O gadżetach, czyli substytuty szczęścia
4. Jak powstaje przebój
5. Mój pies wygryzł mi oko, a ja mu wybaczyłem
6. Wielkie marzenia małej dziewczynki
7. Soboty i niedziele na łonie rodziny
8. Zdrowy, nietuczający obiad
9. Niemoc twórcza
10. Ludzie mają prawo wiedzieć
11. Przechodzony towar
12. Nic nie rozumiesz
13. Skandal, wróg, afera, seks i władza
14. Stracone złudzenia, czyli nieubłagany upływ czasu
15. Ona nosiła spodnie
16. Jeden dzień w pracy pewnego architekta
17. Kogo można spotkać w kancelarii prawnej
18. Cel uświęca środki
19. Obudzone wspomnienia
20. Niełatwe zadania

- 21. Wściekłe oblicze prezesa
- 22. Kolacja, klient i piosenka Alicji w tle
- 23. Telefon od Anny
- 24. Szklaną windą lot

Część II

- 1. Flaga na maszt, czyli przejęcie steru
- 2. W świątyni Królowej Śniegu
- 3. Dla takich chwil warto żyć
- 4. O tym, jak świat stał się doskonałą materią
- 5. Trzeba się bardziej starać
- 6. Za zamkniętymi oczami
- 7. Uniesienia pod krzewem jaśminu
- 8. Dziwne losy pewnego paparazzi
- 9. Wszystko jest subiektywne
- 10. Nieważne kim jestem, ważne co o mnie piszą
- 11. Potrawka z kurczaka i męczyzna moich marzeń
- 12. Bo każdy artysta potrzebuje wsparcia
- 13. Szampan, truskawki i Niagara
- 14. Czerwone światło ostrzegawcze
- 15. Jedyną prawdą były jego zdjęcia
- 16. Rzeczka, burza i ta trzecia
- 17. Wysokie szpilki, ruskie pierogi i kocie łby
- 18. Ta płyta nie ma filozofii, czyli gruba skóra
- 19. Rodzinny wyjazd

20. Droga do Sopotu, czyli koniec sielanki

21. To tak, jakbyś płynął w mojej krwi, czyli przymierze

22. niespodziewane odkrycie

22. Koncert, wino i śpiew

Część III

1. Milczenie i puste słowa

2. Romans na pierwszą stronę

3. Co się może zdarzyć, gdy się wcześniej wyjdzie z pracy

4. Lepiej nie wiedzieć

5. Gazeta rzucona na stół

6. Show must go on

7. Kot jako namiastka

8. Zastrzyki i patronaty

9. Dzisiejsze gazety jutro trafią do śmietnika

10. Los zdecydował za niego

11. O tym, jak w natłoku spraw do załatwienia ginie miłość

12. Mam na was zlecenie

13. Kalkulacje

14. Żaden głos nie przebił się przez ciszę

15. Małżeństwo to krucha porcelana

16. Czy ty nie masz uczuć?

17. Nurt rzeki niósł go donikąd

18. O Fugibachu i wyrzutach sumienia

19. Złamane serce gwiazdy

20. Nie wolno się mazać

21. Bo tego chciała publiczność

22. Podróż w stronę wieczności

23. Wielkie łzy małej dziewczynki

24. Super news

25. To serce kiedyś było dla niej

26. Czy kiedykolwiek dla nas zaśpiewa?

27. Zachować twarz

28. Dobrze, że jesteś, czyli przebudzenie

29. Wielkie odrodzenie

Od Autorki

Część I

Stracone złudzenia

„Tak oto dążymy naprzód, kierując łodzie pod prąd, który
nieustannie znosi nas w przeszłość”

F.Scott Fitzgerald, Wielki Gatsby



1. Komiksy cudzego życia, czyli zamiana marzeń na możliwości

Iza przeglądała dzisiejszy numer „Infactu”. Kiedy doszła do szóstej strony, na jej twarzy zagościł promienny uśmiech. Robert znowu nie zawiódł; wykonał precyzyjnie obmyślony plan. Wszystko układało się w zabawną historyjkę zdjęciową, niemal komiks. Na pierwszym planie aktorka Joanna Jonas, gwiazda serialu *Lot nad życiem*, wychodzi ze swojego segmentu na warszawskim Ursynowie wraz z mężem, wsiadają do samochodu, jadą do Gdyni. Na następnym zdjęciu, już w Gdyni, rejestrują się w recepcji hotelowej. Potem widać ich na widowni gali wręczania nagród Złotych Lwów. Na bankiecie stoją roześmiani, czule objęci. A potem Joanna pisze SMS-a. Na zdjęciu zbliżenie wyświetlacza telefonu z treścią: „*strasznie tęsknię*”. Pod spodem komentarz: „Joanna znajduje chwilę, aby wysłać SMS-a do ukochanego i zapewnić go o swoich uczuciach”. Chodzi oczywiście o Karola Marolskiego, z którym ma romans od dwóch miesięcy, o czym „Infact” już donosił, a czemu aktorka absolutnie zaprzecza. W poprzednim numerze ukazały się jednak ich zdjęcia, na których robią razem zakupy w centrum handlowym i sprawiają wrażenie bardzo zżytych.

Upijając łyk kawy, Iza wysłała maila do Roberta Duńskiego z jednym krótkim zdaniem napisanym wielkimi literami: „DOBRA ROBOTA!!!”. Po chwili w drzwiach jej gabinetu pojawił się Robert.

– Wyszło super, co?

– Rewelacja. A jutro damy ich pocałunek. To rozwieje wszelkie wątpliwości – stwierdziła stanowczo Iza.

W tym momencie do drzwi ktoś zapukał, po czym stanęła w nich Żaneta, dziennikarka z działu obyczajowego.

– Przed chwilą dzwonił do mnie menadżer Jonasowej i zagroził nam procesem. Powiedział, że Joanna wysłała SMS-a do syna i że to, co robimy, to draństwo.

Iza roześmiała się w głos.

– Draństwo to ona robi swojemu mężowi. Mamy cały materiał, gdzie wszystko widać jak na dłoni. A menadżer niech się cieszy, że jego aktorka zmieni w końcu swój beznadziejny *image* słodkiej cipci na babę z jajami. Może dostanie jakąś kinową rolę *femme fatale* i przestanie w końcu grać w tych mdłych serialach.

– W każdym razie bądź przygotowana na to, że i do ciebie w tej sprawie zadzwoni – skwitowała Żaneta.

– Niech dzwoni, poradzę sobie.

– OK, chciałam tylko uprzedzić. Nie przeszkadzam wam. Czy kolegium jak zwykle o piątnastej?

– Tak, chyba że o innej. Dora wyśle maila.

– To na razie.

Kiedy Żaneta zamknęła za sobą drzwi, Iza spojrzała przeciągle na Roberta.

– Jesteś bardzo zdolnym młodym człowiekiem i należy ci się premia. – Uśmiechnęła się i dodała: – Jak wszystko dobrze pójdzie.

– To znaczy?

– Jeśli nie zawiodą mnie moje prognozy co do wysokiej sprzedaży. Jak na razie jest znakomita. Wyczerpaliśmy cały nakład wczorajszego wydania, a z sondaży wynika, że osiemdziesiąt procent ludzi kupiło go ze względu na romans Jonasowej. Ta historia naprawdę ludzi wzięła. To nie Doda, po której można się spodziewać ekscesów. Ona uchodzi za wzór wszelkich cnót, a ten romans jest dla wszystkich szokiem.

– A te foty, jak wchodzi do jego budynku z zakupami, a potem wychodzi w nocy, też dajemy? Niestety mają straszną jakość...

– Tu nie chodzi o dobrą jakość. To zdjęcia z ukrycia. Kogo obchodzi jakość?! Jak ktoś chce mieć jakość, niech sobie kupi kalendarz albo idzie na wystawę.

– Więc wszystko puszczamy?

– Oczywiście. To naprawdę bardzo dobra robota. Zrobiłeś kompletny materiał i na tym to polega. Oczywiście, w najbliższym czasie oni w ogóle nie będą się spotykać albo

zachowają największą ostrożność i żadnych zdjęć nikt im nie robi. Będą zaprzeczać, dementować. A my wtedy damy resztę, przez cztery dni z rzędu.

– Cieszę się, że jesteś zadowolona – powiedział Robert, znacząco się uśmiechając. – Widzimy się jakoś w najbliższym czasie?

– Stęskniony? – zapytała kokieteryjnie.

– Może...

– Dam znać, a teraz muszę przejrzeć materiały na kolegium.

– Spojrzała na zegarek. – Już druga.

– To ja znikam. Do zobaczenia na kolegium.

Iza sięgnęła po plik wydrukowanych artykułów, które miały wejść do jutrzejszego numeru „Infactu”. Była jednym z zastępców redaktora naczelnego tabloidowego dziennika i miała ogromne ambicje, by zostać naczelnym.

Owszem, kiedyś, na początku swej drogi dziennikarskiej marzyła jej się publicystyka telewizyjna, ale marzenia zamieniła na możliwości, zakopując je pod grubą warstwą pozy udawanego zadowolenia. Była już nawet reporterką w telewizyjnych „Wiadomościach” i małymi kroczkami zmierzała w stronę awansu na prezenterkę. Tak jej się przynajmniej wówczas zdawało. Ale praca na wizji jej nie wychodziła. Iza była dość atrakcyjną drobną blondynką o długich, gęstych włosach, wydatnych kościach policzkowych i lekko skośnych oczach. Na szklanym ekranie wyglądała nawet lepiej niż w rzeczywistości, lecz na tym niestety wszelkie jej atuty się kończyły. Przed kamerą znikał cały – na co dzień obecny – luz i wyrazista osobowość. Trema sprawiała, że traciła umiejętność logicznego myślenia. Ta bystra, inteligentna dziewczyna zamieniała się w plastikową lalę, która nie była w stanie wypowiedzieć z głowy żadnej kwestii. Wszystkiego uczyła się na pamięć albo przyklejała kartkę obok reporterskiej kamery. Pewnego dnia, podczas relacji „na żywo”, coś zaczęło potwornie pisać w słuchawce, którą miała w uchu, i to był koniec. Rytm wyuczonych na pamięć słów został przerwany piskiem, straciła zupełnie głowę i powiedziała coś, czego sens

był mniej więcej taki – że dzieci z ubogich rodzin mogą kierować pieniądze na wsparcie programu dożywiania dzieci na konto fundacji, co na pewno pomoże fundacji godnie egzystować. Po takim występie zabroniono jej wchodzić na wizję. A to oznaczało wyłącznie morderczą pracę na zapleczu tylko po to, aby jakaś wymalowana piękność z większym luzem mogła odczytać tekst na wizji i być potem rozpoznawana przez świat. Zbyt frustrująca perspektywa.

Wtedy przeszła do miesięcznika „Kobieta”, do którego pisała na tematy społeczne. Zaszła w ciążę i wyszła za męża. Ciążę przechodziła źle, więc od trzeciego miesiąca była na zwolnieniu lekarskim, sporadycznie coś pisując. Potem urodziła Olę i przez prawie rok była z nią w domu, wpadając przy okazji w ciężką depresję poporodową. Tymczasem w piśmie zmieniła się cała dyrekcja i właściwie Iza nie miała czego tam szukać, co dano jej jasno do zrozumienia. Na szczęście, zupełnie przypadkiem spotkała koleżankę ze studiów, która jej powiedziała, że powstaje nowy tabloid i szukają ludzi. Postanowiła na chwilę się tam zaczepić, jednak niespodziewanie okazała się intelektualną gwiazdą wśród z reguły średnio przygotowanych do zawodu osób. Szybko wyrosła na liderkę i dziennikarkę o najostrzejszym piórze w redakcji. Po pewnym czasie stwierdziła, że lepiej być najlepszą wśród najgorszych niż przeciętną wśród wspaniałych, i została.

W redakcji liczono się z jej zdaniem, no bo przecież uchodziła za „tą z Wiadomości”. Zaczęto nawet szeptać, że prezes szykuje ją na redaktora naczelnego. Kiedy została do niego wezwana, oczekiwała dobrej nowiny.

– Musisz jeszcze trochę popracować i zrobię cię być może redaktorem naczelnym – oświadczył. – Ale powinnaś myśleć po naszymu. Liczy się prosty przekaz, coś, co przyciąga uwagę. Pokaż mi, że umiesz myśleć nowocześnie. Ludzie potrzebują newsa, rozumiesz: akcji.

– Dlaczego uważasz, że myślę nienowocześnie? – zapytała rzeczowo.

– Ja ci mówię, co jest najważniejsze, jakie stoją wymagania przed współczesnym dziennikiem, takim jak nasz. Po co komu długie analizy i komentarze? Liczy się prosty przekaz. Jeśli już analizujesz, to zrób to w formie tabeli, na którą wystarczy rzut oka. Nasz czytelnik nie ma czasu na wczytywanie się w publicystykę. – Wyraźnie zaakcentował słowo „nasz”. – Ludzi interesuje plotka, skandal, sypialnia gwiazdy. Wielki świat, a problemy takie same jak u przeciętnego Polaka.

– Myślałam, że ma być rzetelnie...

– Ma być prosto – powiedział krótko i spojrzał jej w oczy. – Od dzisiaj będziesz zastępcą naczelnego, a potem zobaczymy.

Była trochę rozczarowana, choć może nie za bardzo. Miała wtedy zaledwie trzydzieści trzy lata, pięciocyfrowe zarobki i szanse na awans – było OK.

Od tamtej rozmowy minęło kilka lat, a ona wciąż była zastępcą redaktora naczelnego. Uwagi prezesa stały się dla niej drogowskazem do celu i zastosowała się do nich bez mrugnięcia okiem. Chce, żeby było prosto? Proszę bardzo. Chce, żeby były *newsy* z sypialni? Nie ma sprawy. I rzeczywiście były, więc rosła sprzedaż i przychodzili reklamodawcy. Tylko awansu nie było.

Iza wystukała na telefonie numer swojej sekretarki Dory.

– Wyślij do ludzi z działu obyczajowego i gwiazd maila, że kolegium jest o piętnastej. Aha, materiały polityczne są OK, więc polityka niech nie przychodzi. Wyślę do nich tylko maila w sprawie zmiany tytułów w dwóch materiałach.

– Już się robi – odpowiedziała Dora.



2. Jaka jestem wielka

Leniwie podniosła się z kremowej, skórzanej sofy, zrzucając na podłogę pled z wielbłądziej wełny. Postawiła bose stopy na białym dywanie i usiadła. Spojrzała na nie i pomyślała, że są naprawdę ładne; nie za małe, nie za duże, przepisowy rozmiar trzydzieści osiem. Poruszyła palcami, które wydały jej się także idealne. Począwszy od pierwszego, najdłuższego, schodziły równym łukiem do najmniejszego. Nie były powykrzywiane, ani za chude, ani za grube. Stopa była poza tym szczupła i pięknie wysklepiona. Alicja dbała o stopy od kiedy pamięta, bo nic nie brzydziło jej tak bardzo, jak szorstkie pięty czy długie, brudne paznokcie albo zrogowaciała skóra z białym nalotem, albo łuszczący się naskórek. Lato było przekleństwem, bo ludzie chodzili w sandałach zakładanych na gołe nogi. Nie mogła się powstrzymać od obserwowania ich stóp, co zwykle doprowadzało ją do stanu silnego dyskomfortu.

Pamięta doskonale spotkanie z wybitnym dyrygentem Tomaszem Potockim, który miał przygotować symfoniczny koncert z jej piosenkami. Był upalny dzień, spotkali się na kawie w Bristolu, żeby ustalić skład orkiestry i parę innych istotnych szczegółów. Właśnie sięgała do torby po zapisy nutowe, kiedy dostrzegła jego bose stopy w sandałach. Udając, że szpera w torebce, zlustrowała je dokładnie, i ten widok przyprawił ją o mdłości. Pazury były żółte, długie i brudne. Tak, dostrzegła wyraźną czarną smugę pod największym paznokciem. Zobaczyła też kawałek pięty, żółtej i popękanej. Wzdrygnęła się, a Tomaszowi powiedziała tylko, że zapomniała nut i musi wracać. Zadzwoiła szybko do menadżera; nie mogła przecież pracować z kimś, kto miał takie stopy, bo już zawsze będzie widziała tylko te stopy i nie skupi się na żadnej piosence. I rzeczywiście, znaleziono jej kogoś innego, kto na szczęście stóp nie odsłaniał. Muzycy z jej zespołu mieli zakaz noszenia sandałów, na wszelki wypadek.

Alicja wstała z sofy i wsunęła stopy w aksamitne białe kapcie. Podniosła kieliszek z grubego rzeźbionego szkła i przemierzyła salon w kierunku kuchni. Kuchnia była także biała i sterylna. Jedynie kamienne blaty miały odcień wanilii. Na parapecie z białego marmuru stały zioła w białych ceramicznych doniczkach. Melisa, mięta, rozmaryn i bazylia. Nad ogromną białą wyspą ustawioną w centralnej części kuchni połyskiwały garnki: takie z patyną czasu i zupełnie nowe, ciężkie patelnie i małe lekkie rondelki, ogromny wok oraz patelnia na jajecznicę dla jednej osoby. Z prawej strony, na specjalnych haczykach wisiały chochle, łyżki, mieszadła, srebrne i drewniane z wyraźnie pociemniałymi końcówkami. Poza tym nie było tam niczego, co świadczyłoby, że ktokolwiek tu gotuje. Ale jeszcze godzinę temu kuchnia wyglądała jak pobojozisko, z którym rozprawiła się niezawodna pani Wala przychodząca kilka razy w tygodniu. Dzisiaj Alicja przygotowywała świeżego dorsza przekładanego kolendrą, cytryną i natką pietruszki. Właśnie skończyła posiłek, jedząc samotnie i popijając schłodzone chardonnay.

Na kamiennym blacie stała zielona butelka wina, po którą sięgnęła. Złotawy płyn rozświetlił grube szkło i zamigotał w promieniach słońca. Nalała do pełna, podniosła kieliszek do ust. Oblizła wargi i pomyślała, że nadszedł czas, aby udać się do pana Adama. Jej usta z natury nie były idealne, ale od czego mamy współczesną medycynę estetyczną? Wystarczył jeden umiejętny zastrzyk kolagenu, aby zostały uwypuklone i nabrały pełnego wyrazu. Teraz wystarczyło nieznaczne ich muśnięcie transparentnym błyszczkiem. I w ten sposób, dzięki sztucznym ustom, Alicja pozostawała naturalnie piękna.

Wciąż była zadowolona ze swojego wyglądu, ale w lustrze, w bezlitosnym świetle zimnych świetlówek, widziała, że czas mija. Starannie zdejmując makijaż, przyglądała się twarzy, z której zmyła warstwę wygładzającego fluidu. Oczy miała piękne, symetrycznie rozstawione. Błękitne, otoczone cieniem długich ciemnych rzęs. Całość wieńczyła lekko uniesiona linia wyrazistych brwi. Piękny prosty nos nadawał rysom

arystokratycznej szlachetności, a uśmiech odsłaniał idealnie białe zęby i filmowy zgryz. Ciemnobrązowe włosy sięgały ramion i były jej największym atutem – kędzierzawe, gęste i falujące, z nieco krótszą grzywką opadającą zalotnie na twarz. Była idealną kobietą: szczupłą, wysoką i proporcjonalnie zbudowaną. Mimo tego, na jej twarzy nikłym cieniem kładł się czas. Skóra pod oczami wyraźnie robiła się cieńsza, a szeroki uśmiech pozostawiał pierwsze zmarszczki. Alicja niedawno skończyła trzydzieści pięć lat.

Wino przyjemnie ją ukołysło. Wypiła kolejny łyk, wyglądając przez okno. Uśmiechnęła się, bo ten widok zawsze napawał ją radością. Przed jej oczami rozpościerał się piękny park, położony tuż za wewnętrzną uliczką przebiegającą pod jej oknami. Od niedawna mieszkała w tym okazałym domu, położonym w samym sercu oficerskiego Żoliborza. Żeby go kupić, wydała całe oszczędności i weszła w morderczą trasę koncertową, reklamującą największego operatora sieci telefonii komórkowej w Polsce.

Dwadzieścia koncertów w dwudziestu miejscowościach, w ciągu trzydziestu dni lipca. W upale i zgiełku, na plażach i rynkach nadbałtyckich kurortów. Nie znosiła takich imprez. Ludzie przechodzili, patrzyli, rozmawiali, zatrzymywali się i szli dalej. Jeśli śpiewała o zmroku, nie było to takie krępujące, ale za dnia tak. Nie znosiła niebiletowanych koncertów, bo publiczność była przypadkowa i najczęściej pełna rezerwy. A to z kolei powodowało, że zaczynała się starać jeszcze bardziej. Wbrew wszystkiemu chciała tych ludzi zatrzymać, na chwilę, na moment; żeby się wsłuchali, żeby ich poniosło, żeby dali się porwać muzyce. Szybko zapominała o koncertach pełnych ekstazy tłumu, kiedy wszyscy śpiewali razem z nią, niesieni dźwiękami jej największych przebojów, a zostawiała w pamięci te nieliczne, kiedy w żaden sposób nie mogła słuchaczy poruszyć, wyrwać z niemego odrętwienia, albo kiedy publiczności było niewiele. Miała poczucie, że skoro ci ludzie nie kupili biletu, było im obojętne, czy zobaczą na scenie – ją,

Kayę czy Michała Wiśniewskiego. Dlatego nie lubiła śpiewać na niebiletowanych imprezach.

Kiedy pojawiła się oferta kupna tego domu, nie miała całej kwoty w gotówce, więc propozycja koncertów spadła jak z nieba. Wzięła też kredyt hipoteczny i wystąpiła o zaliczkę do firmy fonograficznej. Oczywiście wiedziała, że w najbliższej przyszłości nie otrzyma złotówki ze sprzedaży płyt, i ta perspektywa napawała ją lękiem. Będzie musiała jeździć, śpiewać, żyć tylko z koncertów i z *eventów*, jeśli takie w ogóle się pojawią. A z tym niestety nigdy nic nie wiadomo. Bywały okresy, że nie mogła znaleźć wolnego miejsca w kalendarzu, a bywało i tak, że telefon milczał tygodniami.

Alicja usadowiła się wygodnie na sofie z kieliszkiem w dłoni. Była siódma wieczorem. Pomyślała o sprawach do załatwienia. O programie telewizyjnym, w którym miała wziąć udział w przyszłym tygodniu, i o tym, że nawet nie wie, o czym ma rozmawiać jako zaproszony gość. Wzięła telefon i wybrała numer Juliana.

– No cześć, to ja. Słuchaj, ja nawet nie wiem, o czym ma być ten wywiad... O czym oni chcą ze mną rozmawiać? Ja przecież muszę się zastanowić. To w końcu już za parę dni, a ty nic mi nie mówisz.

– Spokojnie. To przecież zwykły program o kulturze. Zapytają o plany na przyszłość, a ty powiesz, że właśnie przygotowujesz płytę; oni się zapytają, jaka będzie ta płyta, to im coś powiesz i po sprawie.

– Po jakiej sprawie?! Umawialiśmy się przecież, że mają wysyłać pytania. Łatwo ci mówić, że coś powiem. Coś to może każdy mówić, ja muszę mówić tak, żeby to miało sens. Ty nie wiesz nawet, jak ja się czuję po takim wywiadzie, z którego nie jestem zadowolona. Nie mogę w nocy spać, bo myślę, że za chwilę napiszą, że jestem idiotką, bo powiedziałam to czy tamto. Więc nie mów mi, że po sprawie i że...

– Ależ oczywiście, że masz rację – Julian przerwał jej w pół słowa, bo dokładnie wiedział, że jeśli tylko nie zatrzyma tego słowotoku, to z błahej sprawy zrobi się awantura. – Masz rację

i nie pójdziesz na żaden wywiad bez pytań, mowy nie ma. Pytania będą.

– Kiedy będą?

– Dzisiaj jest czwartek, nagranie masz we wtorek, więc najpóźniej dostaniesz je w poniedziałek.

– Tylko pamiętaj, zrób tak, żeby było dobrze, żeby nikt się nie poobrażał i żeby nie mówili, że stawiam jakieś warunki. I żadnych prywatnych tematów.

Julian przytaknął, wymienili zdawkowe „pa” i się rozłączyli. Ta rozmowa wyprowadziła ją z równowagi. Nie mogła pojąć, dlaczego każdy menadżer okazywał się taki bierny w sprawach kluczowych? Najchętniej ograniczyliby swoją aktywność do odbierania telefonów. Cóż to za sztuka stwierdzić, że artysta ma wolny termin i może przyjechać na umówiony koncert. Rozmowę zaczynali najczęściej od: „Ile płacicie?”, po czym łaskawie akceptowali stawkę bądź nie. Jeśli jej wynagrodzenie za koncert wynosiło średnio wraz z zespołem około dwudziestu tysięcy złotych, to jego dziesięć procent dawało mu dwa tysiące. A koncertów było najmniej około czterech w miesiącu. Więc nie robiąc praktycznie nic, nie wstając co rano do pracy i nie przesiadując w niej do dziewiętnastej, jak większość społeczeństwa, dostawał osiem tysięcy za dosłownie cztery dni, kiedy jeździł z nią i zespołem na koncerty. I były to „słabe miesiące”, bo zazwyczaj koncertów wypadało dwa razy tyle, zwłaszcza w sezonie. Oczywiście dochodziły do tego inne wpływy: jakieś reklamy telewizyjne, programy i różne imprezy. Miał nawet pomysł, żeby brać procent z jej tantiem, ale w żadnym razie się na to nie godziła. I w zamian za to nie potrafi ustalić pytań! Co on właściwie potrafi, co oni wszyscy potrafią?! Gdyby nie jej determinacja, upór i praca nie miałyby nic. Na nikogo nie mogła liczyć. No właśnie. Radio FFM miało już w tym tygodniu grać tę piosenkę, którą napisała do nowego filmu Wasowskiego, i co? Nie grają.

Alicja przygryzła nerwowo wargę i chwyciła za telefon. Tym razem wybrała numer dyrektorki promocji w swojej firmie fonograficznej.

- Halo – odezwał się nosowy głos Angeli.
- Cześć, to ja – przywitała się Alicja.
- No cześć, kochanie, jak miło cię słyszeć.
- Słuchaj, Angela, nie ma tego numeru w radiu, zupełnie go nie grają, co się dzieje?
- To się dzieje, że nie chcą go. Mówią, że według ich rankingów ten numer się nie sprawdzi. No wiesz, Zalewski mi powiedział, że jest za wolny i za dużo mija czasu do refrenu. Nikt nie będzie czekał trzydziestu sekund, aż coś się zacznie dziać; słuchacz po prostu zmieni kanał.
- Tak ci powiedział? A ty co na to?
- No wiesz, ja go wciąż chcę przekonać, w końcu ten numer ma pociągnąć naszą płytę z *soundtrackiem*, więc mi na tym zależy.
- Ale ten film wchodzi za parę tygodni do kin, ruszyła już kampania, on m u s i być grany w tym tygodniu!
- OK, OK, jutro zadzwonię do Zalewskiego – powiedziała Angela.
- No dobrze, zadzwonisz do Zalewskiego i co? Jak niby zamierzasz go przekonać?
- Coś wymyślę. Powiem, że mu załatwię Celine Dion do reklamy radia, wywiad mu z nią załatwię ekskluzywny, załatwię to...
- Słuchaj, trzeba obalić jego argumenty. Skoro twierdzi, że numer za długo się ciągnie do refrenu, to możemy pierwsze kanto skrócić. Co do tempa się nie zgadzam, jest OK. Ale formę numeru mogę zmienić. Jutro wejdę do studia, nawet śpiewać nie muszę, bo wszystko się przemontuje.
- Skoro tak... nie sądziłam, że się zgodzisz na zmiany.
- To mogłaś zapytać – powiedziała Alicja, nie kryjąc wzburzenia. I dobitnie, acz spokojnym już głosem dodała: – Bardzo mi na tym numerze zależy, bo jest b a r d z o d o b r y. Pamiętaj, że promuje świetny film i wyjdzie z tego świetny *soundtrack*, który się nie sprzeda, jeśli piosenki ludzie nie usłyszą!



3. O gadżetach, czyli substytuty szczęścia

Andrzej siedział na fotelu w pokoju telewizyjnym i przeglądał katalog aparatów fotograficznych. Minęła dwudziesta pierwsza. Pół godziny temu uśpił Olę, a potem zjadł kolację. Przyrządził pieczone bakłażany z pomidorami i serem feta. Wiedział, że Iza wróci jak zwykle głodna, więc zostawił dla niej porcję w piekarniku. Wracła zazwyczaj nie wcześniej niż o dziewiątej, chyba że zamykała numer – tak jak dzisiaj – więc nie spodziewał się jej przed dziesiątą.

Spoglądał z zachwytem na to cacko, które sobie już dawno upatrzył. Najnowszy model lustrzanki firmy Sony. Duża matryca światłoczuła, dzięki czemu można robić zdjęcia bez flesza przy słabym oświetleniu, funkcja stabilizacji obrazu zintegrowana z korpusem, swobodne operowanie głębią ostrości z możliwością manualnego ustawiania parametrów oraz wymienna optyka najwyższej jakości. Czuł nieodpartą potrzebę kupienia tego aparatu. Od dawna miał na niego oko, ale teraz nadszedł ten moment.

Usłyszał sygnał przychodzącego SMS-a. Sięgnął po swoją wypasioną nokię i przeczytał: *„Nie czekaj na mnie z kolacją, wrócę bardzo późno”*. *„Kolacja czeka w piekarniku, gdybyś jednak miała ochotę”* – odpisał. Nie przejął się, że Iza wróci późno – widocznie musi zostać. Praca to praca, rozumiał to doskonale. Pamiętał, jak sam siedział w biurze projektowym do nocy, bo trzeba było finalizować pilny projekt. Na szczęście te czasy to przeszłość. Kiedy Iza poszła do pracy, ktoś musiał zajmować się Olą.

Najpierw mieli opiekunkę, ale mała domagała się obecności rodziców. Miała lęki nocne, zamknęła się w sobie. Kiedy zaczęła się w nocy moczyć, poszli do psychologa, który stwierdził, że dziecko tak właśnie reaguje na rozłąkę z rodzicami. Andrzej sam zdecydował, że zacznie więcej przebywać w domu. Z opiekunki nie zrezygnowali, bo była dla nich również

gosposią. Pani Zosia przychodziła około piętnastej, wychodziła o dwudziestą. Natomiast Andrzej zaprowadzał i odprowadzał Olę do szkoły, spędzał popołudnia w domu i zajmował się wszystkimi bieżącymi sprawami.

Biuro projektowe, w którym miał udziały, całkiem dobrze prosperowało popołudniami i wieczorami bez niego. Musiał tylko zatrudnić dodatkowo dwóch młodych architektów. A samej pracy było sporo, gdyż firma na stałe współpracowała z czterema deweloperami, realizującymi po kilka dużych inwestycji rocznie. Poza tym mieli wielu prywatnych klientów. Warszawa stała się jednym wielkim placem budowy, o kredyt było łatwo, ludzie inwestowali, więc firma wkrótce podwoiła, a potem potroiła dochody.

Na początku brał jeszcze zlecenia na siebie, jednak w końcu z tego zrezygnował z powodu opieki nad Olą. Czasami projektował domy dla prywatnych inwestorów, ale częściej bywał na spotkaniach biznesowych, które przyjmowały charakter biesiadnych spotkań w restauracji, zakrapianych dużą ilością alkoholu. Bardzo podobał mu się ten rodzaj aktywności, zdecydowanie bliższy jego naturze. Andrzej bowiem nie należał do pracobolików. A w tej chwili, po latach pracy, miał już coś, co było dla niego najcenniejsze: wolny czas.

Gdy Ola była w szkole, robił zakupy, chodził po centrach handlowych i polował na atrakcyjne wyprzedaże. Posiadał karty stałego klienta we wszystkich większych sklepach, głównie z branży odzieżowej, które informowały go o nowych kolekcjach i obniżkach cen. Ubierał siebie, Izę i Olę. Miał idealny gust i doskonale wyczucie stylu. Lubił rzeczy markowe i dobrej jakości. Tak jak jego matka, która umarła dziesięć lat temu.

Śmierć matki była dla Andrzeja nieoczekiwanym ciosem. Gdy zginęła w wypadku, miała zaledwie czterdzieści pięć lat. Była piękna; wyglądali razem jak brat z siostrą. Chodzili na zakupy i do kina. Potrafiła dominować, co niewątpliwie wpływało na życiowe wybory Andrzeja – lubił silne kobiety.

Żałował, że Iza wróci późno, bo chciał jej powiedzieć o lustrzance, którą jutro zamierzał kupić. Uwielbiali rozmawiać o nowych zakupach. Iza, tak samo jak on, lubiła nabywać rzeczy. Ponieważ nie miała zbyt wiele czasu na kupowanie, mogła chociaż razem z nim analizować, zastanawiać się, wybierać to, co byłoby potencjalnie najlepsze. Sam proces wybierania wprowadzał ich w stan zadowolenia i miłego podekscytowania. Przemijającego, ale miłego i występującego stosunkowo często, bo często kupowali. Obydwoje dzięki temu czuli się lepsi.

Andrzej lubił piękne rzeczy i pięknych ludzi. Dzisiaj, jadąc po Olę do szkoły, zajechał do Arkadii i kupił córce dżinsową sukienkę w Zarze, a do tego zamszowe botki. Sobie sprawił nowy pasek do jasnych dżinsów; zupełnie przypadkiem zauważył przecenę u Zegny. Kupił też kilka butelek czerwonego wina i owoce morza, które w Kuchniach Świata sprzedawano w czwartki zawsze świeże.

Uchodził za mężczyznę doskonale umiającego łączyć rolę ojca i wziętego architekta. Matka, która jadąc do pracy odwoziła dziecko do szkoły, a potem w korkach po nie wracała – nerwowo zerkając na zegarek, czy zdąży przed zamknięciem świetlicy – nie wzbudzała niczyjego podziwu. Raczej uważano, że jest źle zorganizowana albo robi karierę kosztem dzieci. Natomiast tatuś, który codziennie elegancki i uśmiechnięty pojawiał się w szkole, wzbudzał zachwyt i był ulubieńcem innych mam oraz nauczycielek. W dodatku architekt z własną firmą. Tak opowiadała Ola. Mama nigdy nie miała czasu, tata był osiągalny zawsze. I był szefem w domu. Bo mama nigdy nie wiedziała, gdzie co jest, kiedy wyjazd na zieloną szkołę, a kiedy rozpoczynają się ferie.

Andrzej miał z Olą świetny kontakt. I świetnie sobie zorganizował domowe życie. Rano odwoził córkę do szkoły, potem pojawiał się w firmie, sprawdzał postępy w projektach, odbierał pocztę, odpowiadał na maile i dzwonił do klientów. O piętnastej do domu przychodziła pani Zosia, która wykonywała prace wskazane przez Andrzeja, prasowała lub

wieszała pranie. Gdy wracał z Olą, robił obiad i razem jedli. Potem sprawdzał, jak córka odrobiła lekcje, a gdy było coś trudniejszego, to odrabiał razem z nią. Około siedemnastej pił popołudniową herbatę i zagryzał ją herbatnikiem, czytając prasę. Pani Zosia w tym czasie zajmowała się Olą, a potem przygotowywała dla niej kolację.

Gdy mała szła spać, on najczęściej coś czytał albo surfował po internecie w poszukiwaniu nowinek gadżetowych. Telewizory LCD, komputery, telefony, GPS-y, gry komputerowe, kamery, aparaty fotograficzne, no i w końcu samochody. Przedmioty jego marzeń. To one wzbudzały największy dreszcz emocji – gadżety dwudziestego pierwszego wieku. Przeznaczone dla ludzi dobrze sytuowanych, po trzydziestce, rekompensujących nimi wszelkie braki na każdym polu. Substytuty szczęścia.



4. Jak powstaje przebój

Alicji zależało, by piosenka chodziła w radiu, bo obiecała to osobiście producentowi filmu. Spotkała go przypadkiem na jakimś przyjęciu, trochę rozmawiali, po czym on powiedział, że kończy właśnie zdjęcia do nowej komedii romantycznej i potrzebuje piosenki promującej. Myślała, że to propozycja dla niej, jednak żadna oferta nie padła z jego ust. Pomysł, aby to ona zaśpiewała, był bardzo kuszący, bo od dwóch lat nie nagrała płyty, a piosenka z wysokobudżetowej polskiej produkcji, ze znakomitą obsadą aktorską, byłaby idealna, aby przypomnieć się publiczności. I trochę zarobić rzecz jasna. Następnego dnia zadzwoniła do Wojtasa, z prośbą o szybkie napisanie czegoś odpowiedniego.

– Wiesz, to ma być coś lekkiego. Napiszę tekst o miłości. W refrenie musi być tytuł filmu *Za daleko, za blisko*. Najlepiej na jutro, melodia oczywiście. Aranż możesz zrobić później, ale i tak wszystko musimy mieć w tym tygodniu. Słuchaj, to będzie ogromna promocja, tantiemy z kin, niezła kasa, przyłóż się.

Następnego dnia miała melodię. Aranż był gotowy nazajutrz, a kolejnego dnia wszystko nagrali. W sumie, w ciągu pięciu dni od rozmowy z producentem piosenka była gotowa. Potem Alicja zadzwoniła do niego i umówiła się na spotkanie, zaznaczając, że ma niespodziankę.

– Będę z tobą szczery – powiedział po wysłuchaniu piosenki.

– Ja się tam na muzyce nie znam, ale chcę, żeby to chodziło w Radiu FFM, bo słuchają go nasi widzowie, wiesz, japiszony po trzydziestce. Powiem szczerze, chciałem rozmawiać w tej sprawie z menadżerem Natalii Kukulskiej, ale skoro mamy gotowy numer... Muszę jednak mieć gwarancję, że będą to puszczać. Przekonała go, że na sto dwadzieścia procent numer będzie chodził. Dodatkowo miała załatwić wydanie soundtracku przez firmę fonograficzną, na atrakcyjnych warunkach. Uzgodnili stawkę za napisanie piosenki. Producent

zastrzegł, że zapłaci w dwóch ratach. Pierwsza, płatna w ciągu siedmiu dni, następna, gdy numer będzie grany w radiu.

A tymczasem numeru w radiu nie było! Angela znowu wszystko zawaliła. Nic dziwnego, zajmowała się teraz wyłącznie swoją nową dyskotekową gwiazdką. Dlatego Alicja uznała, że musi zadzwonić do Zalewskiego, prezesa radia, i umówić się na spotkanie następnego ranka. Potem kazała Wojtasowi zamówić studio na dwunastą, oświadczając, że numer trzeba natychmiast przemontować i zawieźć nową wersję do radia najpóźniej po południu. Zakładała z góry, że Zalewski powtórzy jej te same zastrzeżenia, o których mówił Angeli, a ona wtedy zaproponuje mu nowe wersje.

Zadzwoniła komórka. Spojrzała na wyświetlacz: Ania Palimąka, product manager z firmy fonograficznej, która zajmowała się jej nowym teledyskiem. Nie odebrała. Wiedziała, że chodzi o montaż teledysku do piosenki promującej film, bo miała zastrzeżenia odnośnie swojego wyglądu. Musi to załatwić z prezesem firmy, a nie z tą dziewczuszką, która nic nie wie. Trzeba będzie zrobić cyfrowy retusz wielu ujęć, bo znowu nawalił oświetleniowiec i miała na twarzy cienie, które dodawały jej lat.

Nalała sobie kolejną lampkę wina. „Jeszcze jedna, a znowu się upiję” – pomyślała. Ostatnio rzeczywiście piła coraz więcej. Kolejny kieliszek wyciszył wyrzuty i mogła zająć się ważniejszymi sprawami. Jej myśli zaprzętała ostatnio kolejna płyta, nad którą właśnie pracowała. Większość utworów była już muzycznie zupełnie gotowa, ale brakowało tekstów. Tymczasem, od dwóch miesięcy próbowała stworzyć coś sensownego – bez skutku. Każda kolejna próba kończyła się niczym. Słuchała i słuchała, głośniej, ciszej, znała na pamięć frazy muzyczne i dokładną liczbę sylab w każdej. Potem coś pisała, bez większego przekonania i satysfakcji. Następnego dnia czytała wszystko, co stworzyła, i wyrzucała to do kosza.

Zazwyczaj nie miała problemów z pisaniem. Przychodziło łatwo, niespodziewanie, niczym nagła, wzburzona fala na spokojnym oceanie. Doprowadzało ją do wzruszeń, czasem

nawet łez. Czuła uniesienie graniczące z poczuciem szczęścia, kiedy nagle pojawiała się myśl, tak mocna, tak przenikliwa, że aż bolesna w swym pięknie. Czasem brakowało jej tchu, gdy już wiedziała, jak to zaśpiewa, i nie mogła doczekać się tej chwili. Była pewna, że ludzie poczują podobnie – i ta myśl pozostawiała ją w niemym zachwycie nad cudem tego, co robi.



5. Mój pies wygryzł mi oko, a ja mu wybaczyłem

Iza wkroczyła do sali konferencyjnej, gdzie już czekali na nią redaktorzy, z którymi chciała jeszcze popracować nad tekstami przed zamknięciem numeru. Były to cztery osoby, regularnie pisujące o życiu gwiazd i zwykłych ludzi. Iza usiadła przy ogromnym drewnianym stole, przywitała się zdawkowo, powiedziała, że nie zajmie im dużo czasu, po czym przeszła do konkretów, zwracając się do blondynki z działu gwiazd.

– Beata, musisz jeszcze popracować nad tekstem o Wojciechu Kruczkcu. Miał być news, miałaś z niego coś wyciągnąć, a tymczasem mamy opowieść o grzecznym chłopczyku, który zмага się z przeciwnościami losu. Naprawdę niczego się nie dowiedziałas? Miałas z nim rozmawiać o życiu osobistym!

– To straszny nudziarz. Gra w serialu, po czym biegnie na uczelnię i do nocy siedzi na wykładach. Potem wstaje rano, bo o szóstej musi już być na planie, i zdarza się, że zasypia przed kamerą albo stara się powstrzymać ziewanie...

– No i co to oznacza twoim zdaniem? Czy to w ogóle się trzyma kupy? – zapytała Iza.

– Jak to?

– Do nocy siedzi na wykładach? Chyba na tych w nocnym klubie! Dla twojej wiadomości: ostatni wykład na uczelni kończy się około dwudziestej. Napisz, że baluje po nocach.

– No... tego mi nie powiedział.

– Ty sama powinnaś go złapać na tej nieścisłości i dopytać. W tym materiale nic nie ma. Kompletnie nic. Za godzinę chcę zmieniony tekst.

Iza sięgnęła po kolejny artykuł zatytułowany „Wybaczyłem swemu psu” i zwróciła się do szatynki w okularach.

– Zoja, ten materiał jest OK, tylko proponuję zmienić tytuł. Niech będzie... – zastanawiała się przez chwilę. – „Mój pies wygryzł mi oko” dużą czcionką, „a ja mu wybaczyłem” pod

spodem małymi literami. Chodzi o to, że ten news musi już się znaleźć w tytule, bo sprawa jest dość niezwykła.

– Co? – odezwał się Jarek specjalizujący się w *newsach* o gwiazdach. – Pies wygryzł oko, to jakaś makabra...

– Tak – powiedziała Zoja. – Facet najpierw wykupił psa za pięćdziesiąt złotych od ludzi, którzy go katowali, a potem, już chyba po roku, opatrywał mu zranioną nogę, no i wilczurek go dziabnął, dość niefortunnie... brrr...

– To jest dobre – skwitowała Iza. – Niecodziennie pieski wygryzają oczy właścicielom. Były już zagryzienia, ale oko mamy po raz pierwszy, damy to na pierwszą stronę... Obok dużego zdjęcia Jonasowej w pocałunku ze swoim kochankiem.

– Mamy pocałunek Joanny Jonas??! – Zoja otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

– Tak kochani, jesteśmy niezawodni – Iza uśmiechnęła się szeroko. – Właśnie chciałam wam pokazać. – Wyjęła z koperty cztery zdjęcia i podała je Zoi. – Jarek robi do tego dalszy ciąg komiksowej opowieści. – Tu zwróciła się do Jarka: – Przypomnisz, co było w dzisiejszym numerze, czyli SMS-a wysyłanego ze Złotych Lwów, dasz jedno zdjęcie z centrum handlowego i ten pocałunek. Pojutrze będą zakupy przed jego domem, wejście do domu i wyjście późno w nocy.

– Zrobi się, będzie świetny materiał. Ma być zwykłą lafiryndą czy kobietą, która idzie za głosem serca? – zapytał przewrotnie.

– Raczej to drugie. Każdemu zdarza się skok w bok. Takie jest życie – odrzekła filozoficznie i dodała: – Ona jest lubiana, a teraz będzie po prostu bardziej ludzka. Tak naprawdę to się jej nie dziwię, że przyprawia rogi temu bufonowi. To straszny tyran...

– Jak sobie jakąś na planie przyfiluje, to nie przepuści – dodała Zoja.

– Hej, więc zrobmy to... – zapaliła się Iza. – Wyciągnijmy coś na niego, będzie rodzinna *story*. Zojka, co wiesz?

– Mówiła mi Solska, jak robiłam z nią wywiad, że to straszny babiarz, że współczuje Joannie takiego męża, że ona z nim piekło przechodzi, bo wie o tych zdradach. Zniknął kiedyś

z jakąś panienką na tydzień po zdjęciach. Wywiózł ją do Sopotu, na jakieś niby dokumentacje...

– No, to wiesz dużo. Przygotuj coś z tego – zaordynowała Iza. – Będziemy mieli na wszelki wypadek. Dobrze, kochani – spojrzała na wszystkich – nie ma co przedłużać. Wracajmy do roboty. Każdy wie, co ma robić.

Podniosła się z krzesła, a za nią pozostali. Odgarnęła włosy z czoła niedbałym gestem i spojrzała na zegarek. Była szesnasta. Jak się pośpieszy, to zdąży umilić sobie popołudnie jakimś zdrowym, nietuczącym obiadem.

Weszła do swego gabinetu i poczuła lekkie popołudniowe znużenie. Usiadła przy biurku i zerknęła do laptopa. Pięć nowych wiadomości. Nic pilnego. Potrzebuje obiadu, potem wróci, zajmie się korespondencją i sprawdzeniem materiałów przed zamknięciem numeru. Wyciągnęła z torebki komórkę i wystukała krótki tekst: „*Mam ochotę na sycący obiad*”. Wysłała. Po chwili rozległo się krótkie biip, biip i nadeszła odpowiedź: „*Obiad czeka*”. Uśmiechnęła się i wystukała kolejną wiadomość: „Będę za piętnaście minut”. Włożyła komórkę do torebki, wyjęła z niej czarną puderniczkę i pomadkę w kolorze ciemnego beżu. Poprawiła usta. Spojrzała na swe odbicie w małym lusterku, dostrzegła bystre spojrzenie i opuchliznę pod oczami, obok nosa rysowała się wyraźna podłużna zmarszczka. Usta miała niezbyt proporcjonalne; dolna warga podążała za cofniętym podbródkiem. Ale Iza nie dostrzegała tych mankamentów. Wrzuciła akcesoria do torebki i pośpiesznie wyszła z pokoju.

– Wychodzę na obiad – rzuciła sekretarce, której biurko usytuowane było tuż przy jej gabinecie. – Powinnam być za godzinę.



6. Wielkie marzenia małej dziewczynki

Zawsze chciała śpiewać. Od kiedy pamięta. Miała kilka lat, gdy tata nauczył ją przegrywać z telewizji ulubione piosenki. Magnetofon był szpulowy, duży i ciężki. Ojciec zainstalował specjalny kabel łączący magnetofon z telewizorem. Wystarczyło tylko przycisnąć równocześnie dwa klawisze magnetofonu, żeby nagrywająca machina wystartowała. Siedziała godzinami i odtwarzała wszystko wielokrotnie, naśladując piosenkarki. A potem, gdy znała piosenki na pamięć, robiła przedstawienia dla rodziców i sąsiadki, a ci bili jej brawo.

– Z niej wyrośnie prawdziwa artystka – mówiła zachwycona pani Hela. Jej słowa były dla Alicji szczególnie cenne, bo pani Hela była dla małej Ali ucieleśnieniem wszelkiego kobiecego piękna. Miała ondulowane blond włosy, zawsze starannie ułożone i błyszczące. Jej oczy spowijał niebieski cień do powiek, a długie rzęsy były zawsze dokładnie wytuszowane. Oczy pani Heli świeciły majestatycznym blaskiem, a usta perłowym różem. Najbardziej zachwycaly Alicję jej paznokcie, długie i zawsze pomalowane błyszczącym lakierem. Dla sześciolatniej Ali pani Hela była zachwycająca. Kiedyś, gdy mama zostawiła ją u sąsiadki, mogła na własne oczy zobaczyć te wszystkie cuda, których używała pani Hela „do wydobywania z siebie piękna”, jak mawiała. Czego tam nie było: kremy, mleczka, toniki, balsamy, no i przede wszystkim cały katalog różnokolorowych szminek i błyszczyków do ust, cieni do powiek, tuszów, pudrów i kredek kosmetycznych.

– Podoba ci się, co? – pytała pani Hela wyraźnie zadowolona z zachwyty, jaki dostrzegła na twarzy Alicji. – Zobacz, to są cienie do powiek, które kupiłam w Peweksie, kosztowały bardzo dużo, są perłowe, w trzech odcieniach zieleni. Cudne, prawda?

Alicja kiwała tylko nieznacznie głową.

– Niech się pani nimi pomaluje – prosiła nieśmiało.

- Ja? A może ty chcesz spróbować?
- Nie wiem tylko, co by mama powiedziała...
- A tam, raz się żyje, umyjesz się potem, nic nie zobaczy. Tak szybko nie wróci z tego urzędu.

Potem pani Hela zrobiła z Alicji prawdziwą księżniczkę o zielonych powiekach. Patrząc na swe odbicie w lustrze, Ala była zachwycona i wtedy podjęła decyzję, że robi wszystko, aby kiedyś też mieć tyle kosmetyków i też się tak malować. Będzie piosenkarką, z pięknymi strojami i kosmetykami.

Śpiewała na wszystkich akademiach szkolnych, budząc powszechny zachwyt. Była ładnym dzieckiem, miała błękitne oczy i ciemne, kędzierzawe włosy, okalające twarz o subtelnych rysach. Postrzegano ją jednak jako nieśmiałą, wręcz zaleknioną. Ożywiała się właściwie tylko przed publicznością, tremę czując wyłącznie na samym początku. Nie była zbyt lubiana przez rówieśników, bo sprawiała wrażenie zarozumiałej, jak to często bywa u osób po prostu nieśmiałych. Przydawała się jednak w czasie zastępstw lekcyjnych, bo wtedy klasa proponowała, że Ala zaśpiewa. Stawała na środku klasy i zaczynała śpiewać wszystkie aktualne przeboje, zaczynając od Nie ma wody na pustyni Bajmu przez Kocham cię, kochanie moje Maanam, Dmuchawce, latawce Urszuli i Taniec pingwina na szkle Lombardu. Właściwie знаła wszystko, wystarczyło tylko wymienić jakiś tytuł. Po którymś takim występie matka Alicji – osoba energiczna, ale skromna i bez większych ambicji – została wezwana do szkoły. Nauczycielka powiedziała jej, że ma bardzo utalentowane dziecko i czuje się w obowiązku zasugerować, że powinna przenieść je do szkoły muzycznej. Mama wysłuchiwała wszystkiego ze zrozumieniem i powtórzyła Alicji.

- Chcesz iść do szkoły muzycznej? – zapytała.
- Nie wiem – odpowiedziało dziecko. – Chyba nie chcę znowu zmieniać szkoły, znowu będą mówić na mnie „nowa”. Więc Ala została w starej szkole. Matka uważała, że jak ma coś z tego być, to będzie; wiele dzieci pięknie śpiewa, po co robić z tego ambaras.

Ambarasu nikt zatem nie robił, ale coraz częściej widać było, że jednak coś z tego będzie. Alicja sama zapisała się do osiedlowego kółka teatralnego, które mieściło się w jej bloku. Po krótkim czasie została główną solistką i śpiewała popisowy numer Na majówkę na osiedlowych występach. Gdy miała trzynaście lat, zapisała się z kolei do Pałacu Młodzieży i po pewnym czasie została wokalistką zespołu rockowego. Właśnie wtedy zaczęła pisać pierwsze teksty piosenek, pełne buntu i niepokoju, który wzrósł po tym, jak rodzice się rozwiedli. Wiedziała, że ojciec ma inną kobietę i dlatego odchodzi. Pocieszała zrozpaczoną matkę całymi dniami.

Dla matki był to straszliwy cios, po którym długo nie mogła się podnieść. Została sama z dorastającą córką, skromną pensyjką i groszowymi alimentami. Z Alicji uczyniła główną powiernicę swego żalu i utraconych nadziei. Była jedynym dzieckiem i jako piętnastoletnia dziewczyna czuła się odpowiedzialna za matkę. Można powiedzieć, że ich życiowe role odwróciły się w swoisty sposób: to Alicja została matką swojej matki. Podawała jej leki uspokajające i wspierała, jak mogła.

Dopiero teraz zrozumiała, jak bardzo matka kochała ojca i jak bardzo był jej potrzebny do życia. Sama przyjęła jego odejście ze zdziwieniem i odrazą. Nie mogła pojąć, jak ten spokojny, milczący człowiek może nagle odejść do innej kobiety. Zawsze wydawał jej się mało istotnym elementem ich życia, w którym zdecydowanie dominowała matka. To ona podejmowała wszystkie decyzje, załatwiała sprawy, dwoiła się i troiła, żeby związać koniec z końcem. Ojciec pozostawał bierny. Czasem tylko ze spokojem coś konstatował, ale zwykle niewiele mówił, ograniczając się wyłącznie do potakiwania matce. Alicja nabrała przekonania, że jest dla niego nieistotna. Dlatego gdy odszedł, nie czuła jakiegoś przejmującego braku. Owszem, czuła ból, który był raczej reakcją na cierpienie matki.

Oczywiście, w związku z tym, a może właśnie dlatego, jej obojętność wobec ojca przemieniła się w niechęć, a potem żal. Nigdy nie mieli sobie wiele do powiedzenia. Może, gdyby ojciec

się postarał; ale on uznał swoje byłe małżeństwo za życiową porażkę i cały wysiłek wkładał w nową kobietę i dziecko urodzone w tym związku. Alicji powiedział tylko, że już dawno chciał odejść, ale czekał, aż ona podrośnie. Nigdy nie powinien był tego mówić. Są prawdy, których nawet duże dzieci poznawać nie powinny, bo się ją wyłącznie spustoszenie i trwogę w ich młodych sercach.

Odtąd Alicja miała poczucie pomyłki swego istnienia. Nie powinna była w ogóle się urodzić. Tym większe ukojenie przynosiło śpiewanie i pisanie piosenek. W tym okresie jej teksty były pełne rozczarowania światem. Nie ma miłości, nie ma sensu, nie ma przyszłości, jest pragnienie śmierci. Były psychodeliczne i taka była muzyka grana przez jej zespół. W domu musiała być silna, bo nie mogła dobijać matki swoją dekadencją. A matka nikła w oczach, schudła piętnaście kilo przez rok. Po rozprawie rozwodowej przyjechało pogotowie i zabrało ją do szpitala z objawami stanu przedzawałowego. Alicja chodziła do szpitala, uśmiechała się do mamy, mówiła, że wszystko się ułoży, opowiadała jakieś zmyślane szkolne historyjki, po czym wracała do domu i długo płakała. Była przeraźliwie samotna.

Przyszłość miała dać jej pieniądze i sławę. Chciała żyć nieprzeciętnie, być kochaną i podziwianą. Wszystkie swoje problemy rodzinne znosiła dzielnie, bo wierzyła, że to tylko stan przejściowy. Były dla niej napędem do działań, które kiedyś miały przynieść inne, lepsze życie.

Zainteresowania Alicji i sukcesy artystyczne, które zaczęła odnosić już w liceum – zdobywając wyróżnienia na przeglądach i konkursach – budziły raczej niezrozumienie rówieśników, a nawet ich zawiść. Oni po maturze dostali się na studia, a ona na festiwal opolski. Zdobyła drugą nagrodę, a czołowa polska wytwórnia płytowa zaproponowała jej nagranie płyty. Potem wszystko potoczyło się zaskakująco szybko.



7. Soboty i niedziele na łonie rodziny

Najgorsze były soboty i niedziele, gdy Iza nie pracowała. Spała długo, gdyż – jak twierdziła – musiała odespać cały ciężki tydzień. Andrzej i Ola wstawali wcześniej, bo tak już mieli – niezależnie od dnia tygodnia, zgodnie z dobowym rytmem wstawali o tej samej godzinie, czyli o siódmej. Chodzili po domu na paluszkach, żeby przypadkiem nie zbudzić Izy.

W weekendy, kiedy była w domu, Andrzej nie mógł sobie jakoś znaleźć miejsca. Poza tym było dość czasu, żeby rozmawiać, a to nie wychodziło im najlepiej. Więc najczęściej milczeli. Andrzej tłumaczył to sobie tym, że Iza ma głowę nabitą problemami z pracy i jest jej ciężko przestawić się na domowe życie. Sobota wybijała ludzi pracujących z kierunku zajęć i pogoni za uciekającym czasem, zostawiając z poczuciem winy z powodu niedokończonej pracy. W sobotni wieczór przychodziło rozluźnienie, a potem w niedzielę, około południa, pojawiał się lęk przed poniedziałkowym natłokiem spraw do załatwienia.

Siedział z córką przy stole w kuchni, pili gorące kakao i jedli świeże bułki z żółtym serem. Był sobotni poranek. Ola opowiadała z przejęciem o szkole i o okropnym chłopaku, który ją przezywał.

– Musisz pójść do szkoły i się z nim rozprawić – powiedziała do ojca.

– Dobrze, pójdę.

– Powiedz mu, żeby mnie nie przezywał... Albo wiesz co, chodź, wymyślimy na niego jakieś przezwisko.

Opisała dokładnie wygląd swego prześladowcy i zaczęli prześcigać się w wymyślaniu coraz to okropniejszych przezwisk.

– Olek pierdołek!

– Olek matolek!

– Łysol!

– Zębol!

– Szczurzy ryj!

Nagle w przedpokoju zobaczyli zaspaną Izę.

– Dzięki, że daliście mi pospać! – powiedziała z wyrzutem – Nawet w sobotę nie mogę się doprosić odrobiny spokoju! Chciałam trochę pospać. Nie mogłeś jej włączyć telewizora? – zwróciła się do Andrzeja.

– Telewizor odmóżdża, a my właśnie wymyślamy przezwisko dla Olka.

– Nie wolno się przezywać.

– Ale on mnie przezywa – odezwała się Ola.

– To powiedz pani.

– To on powie, że jestem skarżypyta bez kopyta, język lata jak łopata.

Iza machnęła ręką i poszła do łazienki. Oni natomiast w najlepsze kontynuowali zabawę w przezywanki aż do momentu, kiedy wróciła i powiedziała, że głowa ją boli i Ola niech sobie włączy jakąś bajkę.

– Zrób mi pyszne cappuccino – zaordynowała Andrzejowi.

– Sprzątam po śniadaniu, nie możesz się w końcu nauczyć i sama robić?

– Głowa mi pęka... *Please...*

– No dobrze.

Wlał mleko do szklanki i wsypał miarkę kawy do ekspresu. Ze zgrozą obserwował, co ona przyrządza sobie na śniadanie. Parówki. A do tego bułka i keczup. I bułkę w dodatku smaruje masłem.

– Nie przesadzasz z tym masłem?

– Tak lubię.

– Ale to wszystko razem to bomba kalorii i minimum wartości odżywczych.

– Zrzedzisz – powiedziała, wyjmując dwie parówki z wrzątku.

– Daj już tę kawę.

– Weź do tego chociaż pomidora albo sałatę. W tym nie ma nic wartościowego. Czy wiesz, ile białka jest w parówkach? Sześć procent. A wiesz, ile tłuszczu? Trzydzieści procent.

– Lubię czasem zjeść parówki.

– Czasem? I wczoraj, i przedwczoraj. Stanowczo za często. A do pracy zamawiasz pizzę. A na kolację nie wracasz do domu. Wpędzisz się w chorobę takim życiem.

– Pamiętasz, że jemy dziś obiad u moich rodziców? – Iza zmieniła temat.

– Tak – odpowiedział krótko.

Nie lubił swych teściów. Przede wszystkim dlatego, że oni nie lubili jego. Ojciec Izy sam doszedł do wszystkiego i szanował ciężką pracę. W Andrzeju widział piękniśia, zawdzięczającego nazwisko i kontakty ojcu, który był uznanym architektem. Zanim wyjechał do Stanów, stworzył biuro projektowe, które przekazał potem Andrzejowi. Teściowie uważali, że zadziera nosa. A prawda była taka, że nie miał o czym ze swym teściem rozmawiać. Mieli inne poglądy polityczne i inne spojrzenie na wiele spraw. Ojciec Izy był zatwardziałym lewicowcem i dawną szyczą w KC PZPR. Uważał, że za komuny było lepiej, a w obecnej demokracji znajdował początek końca. Dla Andrzeja, którego dziadek zginął w Katyniu, a rodzice uczestniczyli wraz z nim we mszach za księdza Popiełuszkę, były to poglądy kuriozalne i głośno się z nimi nie zgadzał.

– Strasznie mnie boli głowa. Przychodzi sobota, a ja umieram – powiedziała.

– Zrób sobie kąpiel z olejkiem eukaliptusowym. Natrzyj skronie amolem...

– Amolem... – parsknęła. – Mi rozwala czaszkę. Wzięłam sumamigren, tylko to mi pomaga. Potrzebuję odrobiny spokoju. Czy mógłbyś wziąć Olę i pójść z nią na jakiś spacer, na godzinę?

– A nie sądzisz, że dziecko chciałoby z tobą pójść na spacer?

– Nie widzi cię cały tydzień.

– O Boże, nie wpędzaj mnie jeszcze dodatkowo w poczucie winy. Mam gorący okres w pracy, muszę się jakoś wyciszyć.

– Po spacerze poczułabyś się lepiej.

– Idźcie beze mnie, proszę, a ja wezmę kąpiel w tym czasie.

Kiedy wrócili ze spaceru, Iza była już ubrana, wymalowana i w wyraźnie lepszej formie. Uśmiechnęła się do Oli na przywitanie.

– Jak tam się udał spacerek mojej ukochanej córeczce?

– Już cię główka nie boli? – zapytała Ola.

– Tylko ciut, ciut. Wyprasowałam ci tę nową sukienkę, którą tatuś kupił. Nałożysz ją na obiad u dziadków.

– Widzieliśmy wiewiórkę, wiesz?

– Wiewiórkę? Super. A wiesz, że jak byłaś malutka, miałaś jakieś trzy miesiące, byliśmy na spacerze w Łazienkach i wiewiórka wskoczyła mi na kolana?

– Naprawdę?

– Tak. Miałam skórzane spodnie, a ona mi je podrapała pazurkami. Idź, nałóż sukienkę, tylko najpierw umyj ręce...

Ola pobiegła do łazienki, a Iza spojrzała na Andrzeja. Wydał jej się jakiś znużony.

– Musimy się pośpieszyć, jak nie chcemy się spóźnić.

– Może bym został?

– Jest wiosna. Ostatnio byłeś u nich na Wigilii. Czy to tak wiele dla ciebie, zaszczycić moich rodziców swoją obecnością? Mama od wczoraj marynuje mięso, a ty teraz chcesz zostać w domu?

– Ja się tylko pytam. Ale nie było pytania.

Poszedł do sypialni, wyjął z szafy brązową koszulę i jasnobieżowe spodnie, do których zamierzał założyć nowy pasek od Zegny. Otworzył szufladę, w której na czarnym aksamicie leżało kilkanaście różnych zegarków. Zdecydował się na sportowy model omegi ze srebrną bransoletką. Oczywiście, rodzice Izy nie widzieli różnicy pomiędzy omegą a casio, ale dla niego wygląd miał znaczenie zasadnicze. Starannie się uczesał, spryskując włosy lekko utrwalającym lakierem, natarł szyję wodą kolońską, nie myjąc po tym rąk, aby nabrały świeżego zapachu. Na koniec wtarł w dłonie odrobinę kremu nawilżającego. Pojechali samochodem Izy, bo stwierdziła, że po takiej dawce tabletek przeciwbólowych nie powinna pić alkoholu, więc może prowadzić. Andrzej mimochodem zerknął

na jej dłonie. Pomalowała nie tylko płytkę paznokciową, ale też skórki, które pozostawiła nieusunięte.

– Powinnaś pójść na profesjonalny *manicure* – powiedział sucho.

Kiedy wchodził do obszernego mieszkania teściów, od razu wyczuwał tę duszną atmosferę niechęci. Nie był wymarzonem zięciem. Teść od początku nawet nie próbował się wysilić na jakiegokolwiek uprzejmości. Już podczas pierwszego spotkania, kiedy Iza zaprosiła Andrzeja jako oficjalnego chłopaka i włączyła dodatkowy grzejnik w swoim pokoju, bo było piekielnie zimno, skwitował to jednym zdaniem rzuconym w stronę Andrzeja: „Coś ty taki wydelikacony?”. Nie miało znaczenia, że to Izie było zimno.

– Dziadziusiu, urosła ci broda – powiedziała Ola na widok ojca Izy.

– Urosła i posiwiała. Już dawno. Za rzadko przychodzicie.

– Twojego ojca to już sto lat nie widziałem...

– Zapracowani jesteście – odezwała się Iza, wieszając torebkę na wieszaku w przedpokoju.

– Ty może tak, ale Andrzej mógłby czasem z Olą zajrzeć po szkole.

– Ola ma dużo zajęć popołudniowych: taniec, angielski... – natychmiast zripostował.

– Po co tak dziecko przemęczać? Pobiegałaby raczej po podwórku z dziećmi, kolorów by złapała, a nie tylko „zajęcia popołudniowe”.

Andrzej spojrzał na Izę, ale ona udała, że tego nie widzi i zupełnie nie przejmowała się słowami ojca. Za to on od razu się zdenerwował i pomyślał, że naprawdę nie rozumie, w imię czego musi to znosić. Na szczęście pojawiła się matka Izy.

– Wyjmowałam właśnie mięso z piekarnika, no ale już jestem... Oleńko, jak ty urosłaś! – pocałowała wnuczkę i przytuliła mocno.

Teraz wszyscy przeszli do przestronnego pokoju „stołowego”, w którym stały meble z lat pięćdziesiątych: kredens wypełniony porcelaną i fajansem, ogromny dębowy bufet i owalny rozkładany stół z krzesłami. Było tu także mnóstwo kwiatów doniczkowych: ogromna palma i juka sięgająca sufitu, a także wielkie paprocie zawieszone na ścianach. Nad stołem wisiała reprodukcja krajobrazu Dawskiego, a w oknach lekko poszarzałe firanki, tak gęsto udrapowane, że nie widać było przez nie zupełnie niczego. Pokój wyglądał tak, jakby nic w nim nie zmieniano od pięćdziesięciu lat.

Usiedli przy stole zastawionym radziecką porcelaną, po której widać było ślady wieloletniego używania. Talerze były gdzieś poobtłukiwane, ale ojciec wielokrotnie powtarzał, że kupił je na delegacji zagranicznej i nie chciał się zgodzić, aby na proszonych obiadach jedli na jakichkolwiek innych. Matka Izy nalala rosółu.

– Marnie wyglądasz, córeczko. Oczy masz takie podkrążone.

– Nic dziwnego, pracuje przecież całymi dniami... – mruknął ojciec.

– Za ciężko, córciu, pracujesz... – powiedziała z troską matka.

– Iza uwielbia swoją pracę, nie można jej wyrwać z redakcji – wtrącił się Andrzej.

– Musi zarobić przecież na te wszystkie wasze plazmy i komputery – warknął ojciec.

– Ja też zarabiam. To, że nie pracuję całymi dniami, nie oznacza, że nie zasilam domowego budżetu.

– „Nie zasilam domowego budżetu” – skrzywił się ojciec. – Czy ty nie możesz normalnie mówić?

– Tato, proszę... – westchnęła Iza.

– Wszyscy teraz za dużo pracują, ty też – wtrąciła się matka spoglądając na Izę.

– Nie wszyscy, nie wszyscy... – ojciec spojrzał znacząco na zięcia.

Andrzej jadł rosół, zupełnie nie czując jego smaku, i naprawdę żałował, że przyszedł na ten obiad. Dla rodziców Izy był mężem pasożytem, który żeruje na ciężko pracującej żonie.